

MENUET Z TU-WIMEM

Na środku sceny stoi wielki stół, obok wieszaki z kostiumami. Rzecz dzieje się w nocy w jakiejś teatralnej pracowni, gdzie magiczna siła sztuki każe strażnikowi, pracownikowi obsługi sceny, bileterce i garderobianej śpiewać, tańczyć, poetycko przemawiać tekstami Tuwima. Postaci, które na co dzień skryte są w cieniu, mają teraz swoje pięć minut.

Zaczyna się od niezbyt udanej scenki, w której ochroniarz (**Arkadiusz Wójcik**) przeszukuje zakamarki zaplecza. Gdy widzi w kącie tajemniczego akordeonistę, rzuca mu krótkie "graj!" i śpiewa *Chrystusa miasta* - kompozycję zespołu Bulldog. Śpiewa dobrze, gorzej naśladuje ruchy rockowego frontmena. A może to właśnie miało wyglądać tak, jak ochroniarz wyobraża sobie występ Kazika (wiem, że na Tuwimowskiej płycie Bulldoga był już inny wokalista).

Na scenie kolejno pojawiają pozostałe postaci - obsługujący dekoracje niedoszły reżyser (**Damian Kulec**), bileterka i prawie-aktorka (**Aleksandra Listwan**), wreszcie garderobiana (**Ewa Sonnenburg**). Śpiewają o ciężkim życiu, o ucieczce od niego chociaż na dzień do Tomaszowa, wreszcie o miłości - znakomity duet Listwan-Sonnenburg w szlagierze Hanki Ordonówny *Na pierwszy znak*, którym w słowo wchodzi Damian Kulec z *Mimozami*. Zabawnie wykorzystano walający się za kulisami tego scenicznego teatru rekwizyt - czaszkę (Yorricka?), by przejść do *Mieszkańców*, których upiorne duchy straszą nas z góry, z oświetleniowej rampy.

Następnie Arkadiusz Wójcik dowcipnie i z wdziękiem każe nam się całować w dupę i w tym momencie zabawa rozkręca się na dobre - w tekstowym przerywniku między piosenkami mamy fragment *Balu w operze*, na scenie jakby ostatni bal w teatrze (przed zapowiadającym zlikwidowaniem z przyczyn finansowych). Poprzebierani w kolorowe szmatki aktorzy tańczą przy dźwiękach utworu *Nasza jest noc*, zaaranżowanego przez **Pawła Jabłońskiego** na menueta, doskonale ogrywając kontrast między warunkami fizycznymi obu bawiących (się? nas?) na scenie par. Karnawałowe maseczki budzą skojarzenia z operą z czasów Mozarta, czego muzycznym odpowiednikiem stają się półzartem wyśpiewywane koloratury. Zwłaszcza Ewa Sonnenburg ujawnia ponadprzeciętne (nawet jak na aktorkę) talenty wokalne. Za to Aleksandra Listwan porusza się po scenie z dynamiką i wdziękiem - coś jak Pippi Langstrumpf po ukończeniu szkoły baletowej drugiego stopnia. Kolejnymi przebojami wieczoru są *Śmierdziel* w interpretacji Sonnenburg i Damian Kulec grający na perkusji i jednocześnie śpiewający na tyle przekonująco o miłości, że budzący namiętność w *szesnastoletniej Wenus* (sami zgadnijcie, która z aktorek ją gra).

Scenariusz nie jest tu najistotniejszy - opowieść o ludziach drugiego planu w teatrze służy raczej powiązaniu w całość piosenek. Ale i w tym scenariuszu znalazły się okazje do drobnych złośliwości pod adresem władzy, z czego publiczność zawsze się cieszy. W pewnym momencie jeden z aktorów odczytuje zarządzenie o likwidacji Teatru im. Juliana Tuwima. Pikanterii tej wymyślonej na potrzeby spektaklu nazwie dodaje fakt, że łódzcy radni nie chcieli Teatrowi Powszechnemu nadać imienia Aleksandra hrabiego Fredey, w zamian proponując właśnie Tuwima. Oczywiście teatru na razie nikt nie likwiduje... Minusem scenariusza jest potrójne zakończenie - *Do prostego człowieka* (miało dać aktualność polityczną - coś im w bankach nie sztytuje), *Litania* (znakomita teatralna modlitwa w rytmie twista) i *Łódź* (zakończenie uzasadniające tytuł). Za dużo tych zakończeń, więc jeszcze nie kończę.

Swoją drogą ciekawe, co by wyszło z zaangażowania do występów prawdziwej bileterki i garderobianej. Albo recenzenta... Myślę, że to pomysł w sam raz dla znanej z demokratycznych ciągotek w teatrze Weroniki Szczawińskiej.

